



O dwojgu takich, co ukradli Ararat

Tekst: Izabela Borkowska, zdjęcia: Roman Przybylski

Późne popołudnie. Jedziemy dolmuszem, czyli zapchanym po brzegi mikrobusem do Doğubayazıt, małej miejscowości leżącej u stóp Araratu. Raz po raz zatrzymują nas żołnierze, ale kończy się na rutynowej kontroli dokumentów. Powietrze rozedrgane gorącem, spocone twarze współtowarzyszy drogi i napięcie, które rośnie w nas coraz bardziej w miarę zbliżania się do tej mitycznej góry.



Na miejscu szybkie zakupy i szukamy miejsca, aby się posilić. Nie sposób zachować tutaj anonimowość, przyczepione do plecaków lina i czekany szybko nas demaskują. Natychmiast do naszego stolika na ulicy bez pytania dosiadają się miejscowi naganiacze, oferujący usługi przewodnickie wprowadzenia na szczyt. Odpowiadamy, że naszym celem jest Damavand w Iranie, nie myślimy wchodzić na Ararat, gdyż jest to tak niebezpieczna góra, że sami nie dalibyśmy rady, a na przewodnika nas nie stać. W końcu odpuszczają. Gdy odeszli, niby od niechcenia pytamy właściciela knajpki, gdzie znajduje się wieś Elikoj. Wąsaty Kurd nieznacznie się uśmiechnął i narysował nam drogę.

Wówczas Romek zbierając się do otwarcia drzwi w trakcie jazdy krzyczy „STOP!”. Kierowca staje. Płacimy za bilet, ładnie się do niego uśmiechamy, dziękując za podwiezienie i zbiegamy do przydrożnego rowu. Bus błyskawicznie odjeżdża w stronę granicy.

Tak rozpoczyna się nasza przygoda z Araratem.

Nieodnaleziona wieś Elikoj

Jest noc. Świeci piękny księżyc, cudnie oświetlając mityczną górę. Cisza. Nie wiemy tak naprawdę, w którą stronę iść. Zaczynamy kierować się na wschód przez łąki, szybko zmieniające się w mokradła. Grunt pod nami staje się coraz



▲ *Nasz najważniejszy cel - Ararat*

▲ *Młode Kurdyjki ze wsi Elikoj napotkane przy zejściu z Araratu*

Ruszamy w kierunku postoju busów, kursujących między Doğubayazit a granicą z Iranem – według opisu właściciela knajpki w połowie tej trasy należy wysiąść i piąć się do góry. Najtrudniejszym zadaniem było wyczcucie, w którym momencie wysiąść. Była noc. Bus jechał dość szybko i zdążyliśmy minąć już dwa rozgałęzienia prowadzące na zbocza Araratu. W pewnym momencie mówimy „stop”. Kierowca jest dezorientowany. Uspokajamy go, tłumacząc, że po prostu zachciało nam się spać i chcemy tu wysiąść, by rozbić się na noc. Kierowca pobladł, ale jedzie dalej tłumacząc, że tu nie wolno wysiadać, że jest to strefa przygraniczna i będą do nas strzelać. „Tratatata” powtarza bez przerwy, a my minęliśmy kolejne rozga-

bardziej grząski. Postanawiamy rozbić się na noc. Długo nie możemy zasnąć, każdy szelest odczytujemy jako kroki tureckich patroli przygranicznych, które w tej sytuacji, bez ostrzeżenia, w każdej chwili mogą do nas otworzyć ogień. Romek każe przestać mi się nakręcać, ale sam również nie czuje się komfortowo. Tak zasypiamy.

Wstajemy o świcie. Widok na Ararat jest niesamowity. Nagle słyszymy czyjeś kroki. Z zarośli wychodzi pasterz, który przyszedł nabrać wody z moczylef. Podchodzimy i łamanym kurdyjskim zaczynamy pytać o drogę do wsi Elikoj. Staruszek wskazał nam zachód. A więc nie dość, że przejechaliśmy drogę, to jeszcze poszliśmy w nieodpowiednim kierunku.

Pogoda była piękna. By znów nie zabrnąć w labirynt mokradel, wracamy do drogi i podążając przydrożnym, głębokim rowem kierujemy się na zachód. Za każdym razem, gdy przejeżdża jakiś samochód, padamy na dno rowu, zamierając na chwilę. Tym sposobem docieramy do dość szerokiej drogi, odbijającej na północ – wprost na stoki Araratu. Skręcamy w nią, lecz szybko postanawiamy dalej uprawiać naszą partyzantkę wśród zarośli, idąc na przełaj przez okoliczne łąki. W pewnym momencie przed nami staje roześmiany chłopczyk. Pytany o wieś Elikoj odpowiada nam tylko pięknym, dziecięcym uśmiechem. Ruszamy dalej. Wtedy z zarośli wychodzi nagle jego ojciec i szczerząc swoje złote zęby, pyta o cel podróży. Słyszac nazwę Elikoj, kieruje nas do Doğubayazit, mówiąc, że tam znajdziemy przewodników, którzy nas do tej wsi zaprowadzą. Sytuacja jest co najmniej niezręczna. Mówimy, że damy sobie radę, lecz ten tym bardziej naciska na nasz powrót. Spojrzeliśmy na jego czapkę z napisem „Himalaya” oraz GPS, który wisiał u paska jego pasterskich spodni i wszystko stało się jasne. Nie wchodziliśmy z nim w dyskusję, podziękowaliśmy i udaliśmy się we wskazanym przez niego kierunku, by chwilę potem znów skręcić w kierunku zbocza góry.

W pewnym momencie widzimy w oddali samochód. Po chwili wysiada z niego... facet, którego poprzedniego wieczoru pół godziny przekonaliśmy, że my w ogóle na Ararat się nie wybieramy, tylko jedziemy prosto do Iranu. To się nazywa pech.

Na poczekaniu wymyśliłyśmy kolejną wersję, że tak naprawdę, to jesteśmy polskimi reporterami z wydawnictwa podróżniczego i przyjechaliśmy zrobić reportaż o ludziach zamieszkujących stoki Araratu, by następnie pojechać zdobywać Damavand, tak jak to wczoraj tłumaczyliśmy. Facet każe pokazać papiery. W przeciwnym razie mamy wsiadać do jego jeepa i wracać z nim do Doğubayazit. Mówimy, że tak ważnych dokumentów nie zabieramy ze sobą jadąc tak daleko, a wszystkie potrzebne pozwolenia są do wglądu w ambasadzie Turcji w Warszawie. Dodajemy, że nie możemy z nim wracać, bo goni nas czas, mamy zobowiązania wobec naszego pracodawcy – musimy zebrać materiał do reportażu. Wówczas nasz rozmówca stwierdza, że zdjęć góry z tej odległości nam wystarczy i nie puści nas ani kroku dalej. Zrobiło się gorąco... Pokręciliśmy głową, że nie ma mowy. Facet mówi, że w takim razie dzwoni po wojsko. Odpowiadamy mu bezczelnym uśmiechem: „If you want...” Wtedy zmienia koncepcję i każe nam połączyć się z ambasadą. Podaję numer do mojego brata, mając nadzieję skorzystać z okazji i zamienić z nim kilka słów. Okazuje się, że facet ściemnia dokładnie tak samo jak my. W ogóle nie wykręcał numeru, który mu podałam. Cała rozmowa z nim to była tylko kwestia tego, kto z nas ma mocniejsze nerwy i jest lepszym aktorem. W tym czasie Romek wyjmuje coraz większe obiektywy, by uwiarygodnić naszą zawodową misję na zboczach Araratu.

Zapada cisza. Następuje długa wymiana spojrzeń, tym bardziej bezczelna, że oto kobieta ma czelność zuchwale patrzeć prosto w rozszłoszczone oczy mężczyzny. Nagle nasz rozmówca podnosi rękę na znak poddania się i mówi, że jakby co, to on nas nie widział. Wsiada do swojego jeepa i odjeżdża w stronę miasta.

Siadamy na skraju drogi. Całe powietrze z nas uszło. Cała pewność, wiara i bezczelność, którą musieliśmy się wykazać w tej rozmowie zniknęły. Popadliśmy w zwątpienie. Nie tak wyobrażaliśmy sobie zdobywanie tej góry. Wiedząc, że należy wykupić „wyprawę” na Ararat za 500 \$ od osoby, świadomie podjęliśmy decyzję jej „skradzenia” tutejszym organizacjom turystycznym vel „mafii”, o której dużo słyszeliśmy przed wy-

jazdem. Mając ograniczony budżet wyprawy zwyczajnie nie było nas stać na zapłatę tej sumy.

Decydujemy się na jeszcze jedną próbę, lecz już normalnie, a nie czołgając się z plecakiem po rowach. Po godzinie drogi zobaczyliśmy w oddali na prawo kwadrat soczystej zieleni, który mocno kontrastował ze stepową roślinnością. Mając nadzieję na odnalezienie wsi Elikoj ruszamy w tamtą stronę. Dochodzimy do bramy, za którą stały... busy miejscowych organizacji turystycznych. Wówczas zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy w paszczy lwa – tj. w ich bazie. Na dany moment jednak nic już nas nie obchodzi. Kończy nam się woda, nie ma sensu kombinować. Z uśmiechem wchodzimy na posesję, jak się okazało... właściciela góry Ararat ;)

Tak nam się przedstawił otyły pan, palący papierosa za papierosem. Sprawił wrażenie sympatycznej osoby. Spytał, co tu robimy. Przedstawiliśmy mu zatem naszą opowieść o zawodowych motywach przybycia w te rejony, którą przyjął i kazał nas obsłużyć. Dostajemy świeżą, źródlaną wodę i obiad. Rozpoczęliśmy swobodną pogawędkę, podczas której obiecałam rozejrzeć się w Polsce za jakąś urodziwą kobietą, którą właściciel Araratu pojawiłby za żonę. W odpowiedzi na pytanie o wieś Elikoj nasz rozmówca zatacza szeroki krąg ręką - wszędzie. Ponadto powiedział, że możemy się rozbić tam, gdzie chcemy. Od kobiet, które nas obsługiwały, kupujemy kurdyjską chustę i kaptusiki. Zapada zmierzch. Żegnamy się i ruszamy przed siebie. Po godzinie drogi rozbijamy się i nasyceni wrażeniami minionego dnia prędko zasypiamy.

O świcie pakujemy najpotrzebniejsze rzeczy, resztę zaś rzeczy ukrywamy wśród skał jako depozyt. W ten sposób możemy poruszać się dużo sprawniej i szybciej. Szeroką, piaszczystą drogą kierujemy się w kierunku szczytu. Po kilkunastu minutach doganiamy starszka podążającego na osiołku w tym samym kierunku. Pytamy po raz kolejny o wieś Elikoj – wskazuje nam błyszczące w oddali białe namioty obozu tutejszych organizacji turystycznych. Nie zadajemy już więcej pytań, nie ma sensu.

Nasz przewodnik Aydin

Niewiele się zastanawiając, schodzimy z drogi do wielkiego wąwozu i jego dnem posuwamy się w kierunku szczytu, mając nadzieję na ominięcie obozu. Nagle słyszymy głośnie pokrzykiwania czterech Kurdów z krawędzi wąwozu, którzy nakłaniają nas do wyjścia na górę.



▲ *Bogate zdobienia sali, która służyła jako harem w XVII-wiecznym pałacu Ishak Paşa Sarayı, leżącym przy dawnym Jedwabnym Szlaku, kilka kilometrów na wschód od Araratu.*

Zupełnie nie znali języka angielskiego, oczywiście prócz słów „money” i „military problem”, więc nasza rozmowa od razu zostaje ukierunkowana na temat pozwolenia na zdobywanie góry. Zamiast propozycji wprowadzenia nas na szczyt za 500\$ od osoby ci młodzi przewodnicy proponują nam doprowadzenie do wsi Elikoj (w ich rozumieniu – do obozu wypadowego na szczyt) za 300 \$ od osoby. Dziękujemy im i mówimy, że mamy zaproszenie od The Owner of Mountain Ararat, pokazując wizytówkę otrzymaną poprzedniego dnia. Wzbudziła ona duży respekt, gdyż natychmiast rozmowy ucichły i niedoszli przewodnicy pozwolili nam iść dalej.

Przeszliśmy może 300 metrów, gdy dogania nas najmłodszy z całej czwórki i zaczyna nas namawiać na odpłatną pomoc podwiezienia plecaków do obozu I. Powtarzamy, że nie jesteśmy tym zainteresowani, gdy nagle młody Kurd ścisza głos i patrząc nam prosto w oczy rzuca: „100 \$ Ararat top”.

Nie wiemy jak zareagować. Upięrać się nadal, że nie chcemy wchodzić na szczyt, czy przystać na jego kuszącą propycję, omijając ewentualne przyszłe problemy związane z naszym pobylem na stokach tej góry. Młody Kurd wyczuł nasze wahanie, więc nie było już sensu dalej udawać. Przeszliśmy bezpośrednio do negocjacji zakończonych sukcesem – zamiast 100\$ od osoby, Aydin, nasz przewodnik, ma nas oboje wprowadzić na szczyt za 100 \$ oraz wwieźć nam na koniku plecaki do obozu I. W trójkę udajemy się dalej. Po pół godzinie spotykamy kolejnego przewodnika na koniu, widać, starego wyjadacza, który nie zważając na to, że mamy już przewodnika, bez skrupułów daje nam swoją wizytówkę, mrugając pojednawczo okiem. To samo spotyka nas w obozie I. Na wysokości 3200 m n.p.m. natychmiast okrążeni zostajemy przez tamtejszych przewodników, którzy natarczywie dopytują się o cenę usługi, udzielonej przez Aydina oraz jaką rolę tak naprawdę on pełni. Spoglądamy na młodego Kurda, a ten milczy. Wówczas to zdaliśmy sobie sprawę z tego, że nie jest on żadnym przewodnikiem, a jedynie tragarzem, który chce sobie dorobić. Pod koniec naszej znajomości wyznaje, że tak naprawdę to jeszcze sam nie stanął na szczycie tej biblijnej góry. Idziemy jednak w zaparte – to nasz przewodnik, a ustalona cena jest naszą prywatną sprawą. W końcu dają spokój, częstują nas gorącą herbatą i... proponują zakupienie wody za 2 \$ za litr. Jest to źródłana woda, doprowadzana gumową rurką z pobliskiego strumienia, która stanowi dla nich dodatkowe źródło zarobku. Totalny absurd! Szybko ruszamy w górę. Aydin ponownie proponuje podwiezienie bagaży na koniu, tym razem już odpłatnie za 100 \$, dla nas okazjnie za 50 \$. Podziękowaliśmy.

Kręta droga na Ararat prowadzi wśród powulkanicznych skał, jest jednak dość łatwa do odnalezienia. W obozie II na wysokości 4200 m n.p.m. znów rozmowy, pytania o pozwolenie wejścia na szczyt, próby zastraszenia, że za chwilę przyleci po nas helikopterem patrol wojskowy, że nas zamkną, stwierdzenie zaś, że mamy już przewodnika, kwitowane jest wybuchami śmiechu. Znowu przechodzimy sprawdzian na aktorstwo, z którego wychodzimy obronną ręką. Okazuje się, tak jak i wcześniej, że nikt po żaden patrol wojskowy nie zadzwonił, a okazywane nam karty przewodnickie są już dawno przeterminowane. Do tej pory zastanawiamy się, czy wśród całego grona ludzi, którzy zbijają spore sumy za wprowadzenie na Ararat, znajduje się choć je-



◀ Kurdyjski targaż gotowy na przyjęcie kolejnego zlecenia

den rzeczywisty przewodnik z aktualną licencją na usługi przewodnickie.

Wspólnie jemy kolację, nagrywamy na kamerkę tradycyjne śpiewy kurdyjskie i idziemy do namiotu spać. Tuż przed zaśnięciem przychodzi do nas jeden z „przeterminowanych” przewodników i proponuje nam wejście na szczyt z trójką tureckich alpinistów. Po raz kolejny czujemy się zbici z tropu. Jeszcze przed godziną chciał oddać nas w ręce wojska. Nie mamy jednak już siły się nad tym zastanawiać. Przygotowujemy się do wyjścia szczytowego i szybko zasypiamy.

Kurdyjski śpiew na biblijnej górze Noego

O 3.00 w nocy pobudka. Wychodzimy na śniadanie do namiotu głównego, który wyglądem przypomina sporych rozmiarów biały parasol. Tam czekała już na nas trójka alpinistów. Przedstawili się jako przewodnicy z Erzurum. Zjedliśmy podsmażoną kielbasę, a raczej coś, co ją przypominało i ruszamy razem w górę pośród zupełnych ciemności.

Ta najwyższa góra Turcji wyrasta niejako wprost z równiny. Jej szczyt leży w samym sercu Wyżyny Armeńskiej, między jeziorami Wan i Sewan, tuż przy tureckiej granicy z Iranem oraz Armenią. Stąd wraz ze zdobywaniem wysokości widoki rozległych przestrzeni, pomimo pochmurnej pogody, robią na nas ogromne wrażenie.

Wejście na szczyt jest łatwe, wymagające jedynie dobrej kondycji fizycznej. Droga prowadzi wprawdzie zakosami wśród

głazów powulkanicznych, później zaczynają pojawiać się płyty śniegu i lodu. Droga lodowa to 1/3 całej drogi od obozu II do szczytu. Jest ona dość dobrze oznaczona przez tyczki ustawione co 100 metrów, a następnie przez kopczyki usypane z kamieni. Przy dobrej pogodzie nie sposób więc tam się zgubić. Jednak w razie załamania pogody należy wycofać się z próby wejścia na szczyt, ponieważ wówczas łatwo zgubić ścieżkę i narazić się na niebezpieczne, eksponowane fragmenty zbocza w okolicach kopuły szczytowej.

Gdy zatrzymujemy się, by założyć raki dołączają do nas dwie grupy turystów wraz z ostatnio przyjacielsko do nas nastawionym „przeterminowanym” przewodnikiem. Zaczyna znów wykrzykiwać, że nie mamy zezwolenia, że nie możemy pójść wyżej, że jesteśmy tu nielegalnie i dzwoni po patrol wojskowy, który nas stąd zgarnie. Nie wiemy, czy mamy się śmiać, czy płakać. Nasi towarzysze są tą sytuacją wyraźnie zmieszani – przecież sam nas wczoraj umówił! Kwitują sytuację milczeniem i ruszamy w górę. Ostatni odcinek drogi prowadzi zboczem lodowo-śnieżnym o nachyleniu ok. 30°. Obowiązkowo należy zabrać raki i czekać. Lina nie jest potrzebna, jeśli szczyt zdobywa się drogą klasyczną od strony południowej.

Na szczytce przywitała nas śnieżycą i potwornie silnie wiejący wiatr. Wkoło widać tylko biel, biel, biel... Żadnych widoków, na które po cichu liczyliśmy. W pewnym momencie nasz „przeterminowany” przewodnik, uśmiechając się do nas, zaczyna śpiewać kurdyjską pieśń o Araracie. Wysłuchanie jej na szczycie tej biblijnej góry było dla nas kolejnym, totalnym zaskoczeniem.

Przy zejściu raki zdejmujemy niemal przy samym obozie II, gdyż ścieżka, którą podążaliśmy na górę, była teraz całkowicie pokryta zamarzającym śniegiem. W obozie gorąca herbatka, obiecane 100 \$ dla Aydyna i krótka drzemka.

Polska to kraj terrorystów

Po południu zaczynamy schodzić. W połowie drogi dochodzi do nas Aydin i, pomimo że nasza umowa dobiegła końca, bierze ode mnie plecak i prowadzi nas do obozu I, gdzie stwierdza, że chce nas ugościć. Tam, na stokach Araratu mieszka cała jego rodzina. Wyznaczył nam miejsce na

namiot, poczęstował przepyszną jajecnicą i pokazał skąd czerpać wodę z gumowej rurki. Odtąd jesteśmy jego gośćmi. Następnego dnia proponuje, byśmy na zejście dołączyli do grupy turystów, którzy mają tego dnia dojść z obozu II. Dzięki temu ominiemy niepotrzebne pytania ze strony patrolu wojskowego, który moglibyśmy spotkać. Po chwili namysłu przystajemy na tą miłą propozycję. Czekamy, czekamy... minęło południe, a my stajemy się coraz bardziej rozleniwieni. W dodatku, w ramach gościny, poczęstowano nas wspaniałym obiadem złożonym z pysznego mięsa, ryżu, surówki, arbuza i ogromnej ilości ciast. Bajka! W zestawieniu z paskudnymi zupkami w proszku, zakupionymi w Dogubayazit, czujemy się jak na cesarskim przyjęciu. Grupa, która wreszcie do nas dotarła, podejmuje decyzję o pozostaniu na noc w obozie I. Resztę dnia spędzamy na rozmowach z turystami, Kurdami, na uczeniu Aydina języka polskiego oraz na obserwacji życia jego rodziny na zboczach Araratu.

Podczas kolacji namawiamy naszego arkadusza do przyjazdu do Polski. Aydin gromko się roześmiał i powiedział: „w życiu, przecież powszechnie wiadomo, że Polska to kraj terrorystów”. Ogarnia nas nieme osłupienie. „Skradziony” Ararat do końca nie przestaje nas zaskakiwać.

Post scriptum

W drodze powrotnej bez problemu odnajdujemy depozyt pozostawiony wśród skał. Na wysokości 2500 m n.p.m. nasza grupa wsiada do busów, które już na nich czekały, a my powoli schodzimy dalej piaszczystą drogą. W pewnym momencie słyszymy znajome „Hello! Money!” Ciarki nam przeszły po plecach... Tylko nie to. Okazało się, że to kurdyjskie dziewczynki... ze wsi Elikoj. Chciały nam sprzedać wianki z polnych kwiatów lub ręcznej roboty pacynki. Ponieważ pieniądze na tę część wyprawy nam się skończyły, daliśmy im kilka małych pluszków, które zabraliśmy z Polski właśnie na takie okazje. Były zachwycone. Oczywiście zaraz przeszły na pytania o pieniądze, krem do twarzy lub cokolwiek innego, co możemy im jeszcze dać. W słowa „para nikst” nie chciały uwierzyć. W dodatku dołączyła do nich reszta rodziny. Na szczęście zadowolili się uczestnictwem w małej sesji zdjęciowej. Na pożegnanie podarowali nam ręcznie zrobioną pacynkę i śliczny wianek. Za nic, za uśmiech.

Porady praktyczne:

Pozwolenia:

W Dogubayazit znajdują się agencje organizujące wyprawy na Ararat. Cena zależy od narodowości – dla Gruzinów 300 USD/os, dla Polaków 500 USD/os., dla Niemców 1000 USD/os i obejmuje załatwienie pozwoleń, transport w dwie strony pod Ararat, noclegi w hotelu/na kempingu w Dogubayazit, wyżywienie, transport bagaży na osłach lub koniach, dwa noclegi w obozach pod Araratem w namiotach, wycieczkę po okolicy oraz wyprowadzenie na szczyt. Pracownicy agencji rozmawiają w języku angielskim. Warto jeszcze zajrzeć na stronę www.sopol.pl.

Wiza:

Wizę turystyczną można uzyskać przy wjeździe. Koszt – 15 USD lub 10 EUR. Wiza ta uprawnia do pobytu przez okres 30 dni i nie może być przedłużona.

Bankomaty:

Jest ich kilka w Dogubayazit. Uwaga dla tych, co udają się następnie do Iranu - nie wymieni się nawet w banku dewizy tureckiej na irańską, tylko na dolary.

Szczepienia:

Nie ma obowiązku szczepienia się, jednak zalecamy zaszczepić się na wirusowe zapalenie wątroby typu A i B.

Internet:

Korzystaliśmy z kafejki internetowej przy skrzyżowaniu dwóch głównych ulic. Cena 3YTL/godz. Nie było problemu by zgrać zdjęcia na płytke CD/DVD.

Noclegi:

Murat Camping w Dogubayazit – organizują również wejście na Ararat. Kontakt: Saim Şahin tel. (0472) 312 03 67 lub (0543) 635 04 94, www.muratacamping.com

Zakupy:

W Dogubayazit jest bardzo dobrze wyposażony supermarket. W małych sklepikach wybór towarów jest niewielki i bez znajomości liczebników w języku kurdyjskim zakupy są znacznie utrudnione, gdyż nie ma zwyczaju umieszczania cen na towarach.

Waluta:

funt turecki (nowa lira turecka YTL)
1 USD = 1,35 YTL; 1 EUR = 1,65 YTL

Te i pozostałe informacje, łącznie z kontaktem do „The Owner of Mountain Ararat” oraz ze stworzonym przez nas praktycznym słowniczkiem polsko-kurdyjskim można znaleźć na naszej stronie internetowej www.3x5000.prv.pl

Wejście na Ararat było częścią wyprawy „3x5000 m n.p.m. – czyli śladem trzech pięciotyścicznych wygasłych wulkanów” www.3x5000.prv.pl

Sponsorzy:



Patroni medialni:

